№ 43. Rok XXXIII

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.
Warszawa, dnia 12 (24) Października 1891 r.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

FOLWARK DO SPRZEDANIA.

OBRAZEK

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Dalszy ciąg.)

— Ślicznie mówicie, moja kobieto, bardzo ładnie...

— Bo i nieco. Żeby wielmożny pan chociaż był dał znać naprzód, jako chce przyjechać do Marysina, tobym wiedziała jak wielmożnego pana godnie przyjąć, jako przystoi żeby był przyjęty dziedzic na swojem dziedzictwie. I koło dworu porządekbym zrobiła i pokoje wybieliła i wszystko het, jak się patrzy... choć tu, wielmożny panie, pustka, ani kogo gdzie pchnąć, ani się kim posłużyć. Służba się rozbiegła, potrochu z rozwydrzenia, jak to w dzisiejszym narodzie to gałgaństwo nikogo nie uszanuje, a potrochu i z głodu, bo Bogiem a prawdą powiedziawszy, nie było co w gębę włożyć.

— Czyż tu taka bieda?

— A dyć bieda, bieda, wielmożny panie, jako zawdy gdy pana niema... Ale ja tu gadam, a wielmożny pan głodny.

Uwinęła się baba żywo, nakryła stół czystą płachtą, przyniosła flaszkę szkaradnej wódki, kawał czarnego chleba, kiełbasy z czosnkiem i postawiła przed wielmożnym dziedzicem, mówiąc, że jajecznica zaraz będzie.

Pan Michał nigdy w życiu z takim apetytem nie jadł i nic mu tak nie smakowało, jak te specyały ze spiżarni Walentowej.

Posiliwszy się, spojrzał na zegarek. Do pociągu miał jeszcze dwie godziny czasu i ten zeszedł mu dość szybko na konferencyi z Walentym.

Stanęło na tem, że Walenty objąć miał tymczasowo zarząd nowonabytych dóbr, zgodzić służbę i kupić zboża na jej wyżywienie, Walentowa zaś podjęła się przy pomocy kilku dziewczyn najemnych uporządkować ogród, dziedziniec i chociaż grubsze śmiecie i gruz z domu wywieźć.

Generalne odświeżenie i wytapetowanie dworu uskutecznić mieli tapicerzy z Warszawy.

Wydawszy odpowiednie rozporządzenia, pan Michał kazał zaprzęgać.

Długo Walenty się nad tem zadaniem męczył i dużo przytem naklął, ale jakoś wyszykował ekwipaż i z wielkim brzękiem zajechał przed dworek.

Pan Michał rozsiadł się wygodnie na siedzeniu i pomyślał w duchu, że jest to jednak pewna przyjemność powracać z własnych dóbr własnym ekwipażem, do własnego domu do Warszawy. To nie przeszkadzało mu zauważyć, że ekwipaż trzęsie i że ciągle w nim coś trzeszczy i brzęczy.

Walenty tłómaczył:

— Nie dziwota, wielmożny panie, co było lepszego, dawny dziedzic sprzedał i tylko tę bryczynę zostawił. Stała długo w wozowni bez żadnego użytku, gałgaństwo i tylo. Śrubka ani jedna nie pasuje, rozklekotane wszystko na szczęt, łaska Bozka będzie, jeżeli się nam w drodze cała ta bieda nie rozleci do licha.

— To też niech Walenty ostrożnie jedzie, bo nie chciałbym tu zostać na piasku.

— E, na piasku bajki, żeby nam się tylko na bruku nie popsuła!

— Widzę z tego, że nową bryczkę trzeba kupić.

— Pewnie i wozów ze dwa teżby się przydało, z naszych co pod szopą stoją pociecha niewielka. Konie, wielmożny panie, też łajdaki, co nie ubije, to nie ujedzie. Do wożenia gnoju jeszcze ujdą, ale do lekkiej jazdy to już na nic. Temu kasztanowi będzie już ze dwadzieścia lat przynajmniej, a gniady był dwa razy ochwacony i siły nie ma za grosz. Była jeszcze trzecia szkapa, ale odeszła temu dwa tygodnie.

— Jakto odeszła?

— A no, poprostu mówiąc, zdechła za ogrodem i psi ją zjedli. Też kaducznie stara była.

— Więc wypadnie i konie kupić.

— A dyć nieco; przyjdzie jesień, robić czem nie będzie, a i wielmożnym państwu, skoro sobie dla lekkiego powietrza chcą tu bez lato siedzieć, nie pasuje takiem łajdactwem jeździć. Czy do kościoła, czy do miasteczka, czy jak—ludzie patrzą. Tu insi panowie czwórkami sypią aż strach, a konie mają jak hamany, powozy aż się świecą.

Pan Michał westchnął. Przypomniał sobie, że w kuryerach bywają nieraz ogłoszenia o mało używanych powozach do sprzedania, możnaby więc kupić niedrogo, ale, bądź co bądź, konie, powozik, zaprzęgi, liberya dla stangreta! Ciężko, ale wróci się

ten nakład przy sprzedaży folwarku, a tymczasem żona i córka przynajmniej przez jedno lato użyją.

— Kupi się wszystko — rzekł do Walentego tonem bardzo stanowczym; — za parę tygodni Marysina nikt nie pozna.

Walenty uśmiechnął się nieznacznie...

— Wiadomo — rzekł, — że najlepsze panowie, to właśnie warszawskie, porządek we wszystkiem lubią, a pieniędzy nie żałują. Służyłem ja u jednego, niedaleko ztąd w Smolance, takie porządki pozaprowadzał, że aż miło. Gdzie szukać!... Budowle zaraz popostawiał, maszyny, lewentarz taki, że strach przystąpić. Folwareczek wyporządził jak zegarek. Parobkom zielone kurty posprawiał, a stangret aż się świecił od srebrnych guzików i galonów. Juści co pan, to pan!

— Chciałbym to kiedy zobaczyć.

— Smolankę obaczyć można, mila drogi ztąd będzie, ale tego pana już wielmożny pan nie obaczy w Smolance.

— Umarł?!

— Gdzie zaś, żyje... mieszka w Warszawie. Utrzymuje sobie dwie dorożki i jeździ.

— Z majątku na dorożki? cóż znowu!

— A tak, Żydy go wyprawowały, opisały, sprzedały i musiał uciekać chudziaczek... ale dobrze mu jest. Widziałem go w Warszawie, akurat ja na Grzybów z kartoflami przyjechałem, a on w to samo miejsce kupca jakiegoś grubaśnego przywiózł w dorożce. Miniasty taki, kasztany łyse miał, dryndę porządną... siedział sobie na koźle jak pan, w skórzanym kaszkiecie, z numerem.

Panu Michałowi zrobiło się trochę przykro, ale wnet się z tego otrząsnął. Prosta rzecz, tamten pan ze Smolanki porobił zaduże nakłady i sam gospodarował. W Marysinie będzie zupełnie co innego, nakłady z oszczędnością, z rachunkiem i folwark zaraz na sprzedaż. Co się wyda, to na rachunek nowonabywcy, który co do grosza wszystko zwróci.

Dojechali szczęśliwie do stacyi, bryczka się nie rozleciała i przygody żadnej nie było.

— Bywaj zdrów, Walenty.

— Niech Pan Bóg prowadzi!

— Pilnujże mi wszystkiego... ja tu za parę dni przyjadę.

— Jak oka w głowie, wielmożny panie, strzedz będę.

Kiedy pociąg już ruszył. Walenty zawrócił szkapiny i jadąc ku domowi, rozmyślał.

— Jak oka w głowie — mruczał pod nosem, — juźci to prawda, oka w głowie każdy pilnuje i Wojtek też pilnował, a przecie jak się w karczmie z cyganami powadził, to mu oko wybili... i teraz z jednem tylko jest...

Pan Michał wprost z dworca do domu się udał. Żona i córka zarzuciły go gradem zapytań.

— Jakże nasz majątek, ładny jest?

— Tak sobie... bardzo miły.

— Czy są malownicze okolice, góry, lasy, doliny?

— Wogóle gór nie zauważyłem, dolin też niewiele... jest to raczej równina.

— A ogród?

— Pyszności! Przywiozłem wam właśnie na pokazanie trochę truskawek, skosztujcie.

— Bardzo dobre, ale w Warszawie, w owocarniach są znacznie większe i wiesz, mężu, że wcale niedrogie.

— Tak tanie jak te być nie mogą, ponieważ są z własnego ogrodu... uważasz: z własnego! Trzeba się znać na owocach. Tamte są duże, lecz bez żadnego aromatu, a te prześlicznie pachną.

— Ma ojczulek słuszność, bardzo miły zapach.

— A widzisz!

— A jakże dom mieszkalny, mój mężu, bo jeżeli mamy tam lato przepędzić...

— Dom cokolwiek obniszczony, ale każę go odnowić.

— Taki duży jak nasz? — spytała córka.

— Dziecko! nasz dom w Warszawie to kamienica, tamten zaś jest to dworek parterowy, drewniany, z werandami i prawie w ogrodzie, bardzo poetyczny i miły.

— Pojedziemy tam jutro — rzekła pani.

— A nie, za nic. Nie pojedziecie, aż wszystko będzie gotowe. Ja się tem zajmę, głowa was o nic nie zaboli, chcę żebyście zastały wszystko w porządku. Na stacyi będzie oczekiwał powozik.

— Jest i powozik?

— Tak jakby był.

— Nie rozumiem, mój mężu.

— Bo widzisz on jest obecnie w reparacyi, kazałem go cokolwiek odświeżyć.

— Na co takie wydatki!

— To trudno, moja żono, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYCHOWANIE.

Słówko o Freblu i jego ogródkach dla dzieci.

(Dokończenie).

Od roku 1840 następuje stanowczy zwrot Frebla do wychowania przedszkolnego. Odtąd poświęca on mu się całkowicie, stwarzając swoje „dary” i „ogródki,” mające na celu harmonijny rozwój fizycznych i duchowych sił dziecka. Przyjrzyjmy się nasamprzód darom.

Jest ich sześć. Pierwszy z nich to piłka, owa ulubienica dzieci, z którą nieradeby się rozstawać nigdy; drugi—kula, sześcian i walec; trzeci — sześcian podzielony na ośm równych części, czyli małych sześcianów; czwarty—również sześcian podzielony na części, ale tak, że każda z nich ma podobieństwo do małych cegiełek; piąty składa się z 27-iu sześcianów takich jak w darze trzecim, tylko w rozmaity sposób poprzedzielanych; szósty składa się z 18-tu tabliczek, z których trzy podzielone są wzdłuż i tworzą słupki, a sześć, podzielonych poprzecznie, tworzy kwadratowe płytki. Prócz tego dodaje się deszczułki, patyczki, kawałki papieru i t. p. Darom tym przypisuje Frebel wielkie znaczenie na rozwój umysłowy dziecka i powstaje przeciwko tym z uczniów swoich, którzy chcieli w nich widzieć jedynie zabawkę. Dziecko, otrzymując jego dary, ma poznawać ich kształty geometryczne, ma zastanawiać się nad niemi, odróżniać jedne od drugich i tu wychowawczyni może znaleźć punkt wyjścia do nauczania poglądowego.

Z sześcianów i ich części, słupków i tabliczek, mających podobieństwo do cegiełek, można ułożyć najrozmaitsze przedmioty, które dziecko otaczają, a których ono jeszcze nie zna dokładnie.

Budując dom rodzinny, kościół lub chatę wiejską z sześcianków i cegiełek, które składają dary, matka lub wychowawczyni może przytem znaleźć obszerne pole do budzenia w dziecku uczuć religijnych, rodzinnych, do zapoznania go ze stroną techniczną danych budowli i t. d.

Rozszerza to naturalnie zakres poznania dziecka i prócz tego chętnie zostaje przez nie przyjmowane, gdyż dzieci lubią stawiać z patyczków lub kart domki, różne figury i t. p.

Niezależnie od tego Frebel, wprowadza do swego systemu wyszywanie, wyplatanie, lepienie z gliny czyli modelowanie i rysunek. Wszystko to ma służyć do rozbudzenia myśli, drzemiącej w duszy dziecka, i prawidłowego zużytkowania jego wrodzonych chęci do działalności. Znakomity pedagog M. Gréard, zastanawiając się nad metodą Frebla, zaznacza trzy zasadnicze popędy duszy dziecka, najpierw do obserwowania czegoś, dalej do działania, do budowania czegoś, i nakoniec pewien odcień egoizmu, miłości własnej. Dziecko — mówi on, — wszystkie swe zmysły ma otwarte i wszystko, co się z jego wzrokiem lub ręką zetknie, natychmiast całą jego uwagę pochłania i zatrzymuje. Niedosyć mu pokazać jakiś przedmiot, ono chce go dotknąć, poznać, on je narazie zachwyca i dziecko rozstać się z nim nie chce.

Metoda Frebla uwzględnia te naturalne popędy i pragnie spożytkować je wcelu kształcącym i uszlachetniającym. Umieściwszy dziecko — mówi pan Gréard dalej, — za stołem wraz z innemi, ale oznaczywszy mu miejsce, które łącznie tylko do niego ma należeć, co czyni je niejako właścicielem danej mu przestrzeni, i następnie zaostrzywszy jego ciekawość obietnicą interesującej zabawy, odkryjmy przed nim cudowne sześć darów Frebla. Nasamprzód wzrok dziecka padnie na piłki z wełny zrobione, kolorowane, i rozpoznaje ich kolory, formę, materyał z jakiego są zrobione, następnie zwróci uwagę na wielce różniący się od kuli sześcian, na pełne rozmaitości formy geometryczne, z których może układać, budować i ustawiać, co mu się tylko podoba. Następnie, gdy mu podamy papier różnokolorowy, gdy mu pokażemy jak może zapomocą łączenia i przekładania tych różnokolorowych pasków upleść kawałek tkaniny, to dziecko, które zpoczątku nas tylko naśladowało, pomału zacznie samo wynajdywać nowe formy, desenie, co już doda mu wiary we własną siłę i wynalazczość. Podczas tego, gdy jego ręce są zajęte i potrzeba działalności jest zaspokojoną, wychowawczyni może rzucić kilka uwag moralnej natury o porządku panującym wśród otaczających nas rzeczy, o potrzebie pracy, a idąc dalej, zawiązać pogadankę, któraby umysł dziecka w nową sferę wyobrażeń wprowadzić mogła.

Ale przez czas dłuższy pozostać na jednem miejscu bez biegania, podskakiwania i wszelkiej swobody ruchów nie będzie mogło żadne dziecko w pierwszym dziesiątku lat swego życia. Zrozumiał to Frebel i długo myślał nad tem, jakby zadowolnić tę potrzebę natury dziecięcej, jakby ująć owę hałaśliwość i swawolę dziecięcą, która tyle kłopotu wychowawczyniom sprawia, w pewną miarę i harmonię, skierować umysł do zajęć pożytecznych, krzepiących go. Wszystkie te potrzeby miał zadowolnić ogródek dziecięcy.

Frebel otworzył go w Blankenburgu i z zamiłowaniem uprawiał.

Czem jest ogródek freblowski dla dzieci, to nam dokładnie objaśnia następujący urywek, skreślony ręką Maryi Weryho, znanej i zasłużonej kierowniczki wzorowo urządzonej szkoły freblowskiej w Warszawie:

„Żeby sobie utworzyć pojęcie o ogródku freblowskim — pisze autorka w jednem z pism naszych,

dając sprawozdanie o tego rodzaju zakładach szwajcarskich, — należy wstąpić do jednego z nich lepiej uorganizowanego. Śpiew wesoły dziatwy rozlega się już w dziedzińcu.

„Wejdźmy... Ożywione grono dzieci bawi się w „siejbę," znaną grę freblowską. Wszystkie one naśladują pracę rolnika, w dalszym ciągu sieją, żną, młócą i t. p. Cel gry jest widoczny: dziecię przy pomocy rozmaitych ruchów ćwiczy mięśnie ciała; rozwija umysł przy pomocy spostrzegania, naśladownictwa życia praktycznego; rozwija gust estetyczny pod wpływem rytmu muzykalnego. Idźmy dalej, do klasy. Przy ścianach stoją szafy, za szkłem których widać zbiory z historyi naturalnej, jakoteż rozmaite robótki wykonane przez dzieci.

„Posłuchajmy, z jaką śmiałością dają odpowiedzi dzieci, z jaką pewnością określają wielkość, formę, ilość, własności swoich zabawek. Tu siedzi mały mularz, co stawia ścianę, dom, piec; tam znów stolarz wyrabia krzesła, stoły, szafy; dalej inżynier budujący mosty, drogi i t. p. Jedne roboty są wykonane z własnego pomysłu, inne z pomocą nauczycielki. Zdolności naśladownicze i wynalazcze są rozwijane w tych małych dzieciach. Tymczasem grono dzieci, któreśmy widzieli bawiące się na podwórku, siedzi już przy drugim stoliku, bardzo spokojnie, zajmując się robótkami, jedne ze słomy, drugie z papieru, trzecie z ceraty układają i wycinają desenie czasem bardzo zawikłane. Jakiej zręczności nabierają te małe rączęta, jakiego gustu, do jakiej doskonałości dochodzi wykonanie prac form naśladowanych przez nie! Po tych zajęciach dzieci potrzebują znowu ruchu, ponieważ ruch jestto życie dzieci.

„Nauczycielka prowadzi je do ogrodu. Tu trzeba zobaczyć, jak dzieci pracują przy swych grządkach, jedno z łopatką, drugie z grabiami, trzecie z konewką. Roślinki i kwiatki, które same sadzą, wzbudzają w dzieciach miłość do natury. Cóż to za radość dla takiego malca, gdy mu zakwitnie kwiatek, posadzony przez niego samego, lub gdy ma już własną różową rzodkiewkę w grządce! Nauczycielka następnie zbiera dzieci dokoła; tu się odbywa mała pogadanka z botaniki lub zoologii, przyczem zwraca się uwagę na prawidłowość i celowość w urządzeniu świata i kończy krótką piosenkę na chwałę Stwórcy. Tą małą modlitwą kończą dzieci swój dzień i wracają wesoło do rodziców."

Wistocie miły to obrazek, zwłaszcza jeśli przeciwstawimy mu hałaśliwe i niesforne zabawy dzieci pozostawionych samym sobie, jak się to najczęściej w wieku przedszkolnym dzieje, lub zanudzane i dręczone po całych godzinach nad elementarzem. Tymczasem przy systemacie Frebla, ściśle zastosowanym do natury dziecka, kształci się ono fizycznie, moralnie i umysłowo bez wstrętu do pracy, bez nalegań, kar i płaczów.

Ogródki dziecięce szybko rozpowszechniły się w zachodniej Europie, dając wynalazcy swemu szeroki rozgłos. Frebel marzył o rozwinięciu dalej swej metody, o wychowaniu człowieka myśli i wiele pisał w tym celu. Nie wprowadził jednak swych pragnień w sferę rzeczywistości i jedynie na wychowaniu przedszkolnem wycisnął swoje piętno.

Zarzucają metodzie Frebla, że odrywa dzieci od matek, że wyprowadza z kółka rodzinnego i tym sposobem szkodzi wpływom macierzyńskiego wychowania. Niewiele w tem prawdy, gdyż dziecko przez cały dzień nie może być pod bezpośrednią opieką matki, a z drugiej strony ruch, świeże powietrze i towarzystwo rówienników są dla niego niezbędne.

To zaś, że w szkółkach freblowskich kształcenie dziecka nie od elementarza się rozpoczyna, lecz od umiejętnego rozwijania jego sił wrodzonych, tylko za wysoką zasługę temu pedagogowi poczytane być powinno, jak równie i to, że kierownictwo nad ogródkami dziecinnemi przeznaczył kobiecie.

Frebel nie doczekał owoców swej pracy, gdyż umarł w roku 1852, podczas prześladowań, które osoby nieprzychylne jego systematowi wychowania prawie w całych Niemczech wznieciły.

Na pomniku jego przyjaciele kazali wyryć:

„Żyjmy dla swoich dziatek."

Frebel przez całe życie był wierny temu godłu.

Stefan Gębarski.

Z DZIEDZINY NAUKI I WYNALAZKÓW.

Mierzenie prędkości okrętów. — Audytoryum w Chicago. — Ślepota psychiczna.

(Dokończenie.)

Znaną jest szczególna choroba oczu, zwana daltonizmem, albo ślepotą barwną; z jej winy niektórzy ludzie nie mogą dokładnie rozróżniać wszystkich kolorów i dlatego są niezdolni do pewnych czynności, na przykład do służby ruchu na kolejach żelaznych.

Pomimo że zjawisko to znanem jest i badanem oddawna, przyczyny jego nie zostały należycie wyjaśnione. Również są ciemne przyczyny innej choroby zmysłu widzenia, która się zowie *ślepotą psychiczną*, a spotyka się daleko rzadziej, niż poprzednia.

Podamy o niej krótką wiadomość, zaczerpniętą z wygłoszonego w tym przedmiocie odczytu doktora Manza w Freiburgu, w Styczniu bieżącego roku.

Osoba dotknięta ślepotą psychiczną ma oczy zupełnie zdrowe i bynajmniej nie jest ślepą we właściwem znaczeniu tego wyrazu, a jednak nie rozpoznaje oczami dobrze znanych sobie przedmiotów. Patrząc na przedmioty codziennego użytku, nie może ona powiedzieć jak się zowią i do czego służą; odszedłszy o kilkanaście kroków od swojego domu, nie może już trafić do niego napowrót; nie rozpoznaje drogi, po której od lat wielu chodziła codziennie, nie poznaje przyjaciół, członków swojej rodziny, a nawet samej siebie.

Objawy te mogłyby wywołać przypuszczenie, że jest ona dotknięta rodzajem obłędu umysłowego, co wszakże byłoby błędem, bo jednocześnie może posiadać inteligencyą nawet wysoką i być zdolną do mniej lub więcej dokładnego wykonywania swoich obowiązków.

Chory, który, patrząc na przedmiot, nie może powiedzieć jego nazwiska, może je powtórzyć, gdy mu kto drugi podpowie; znajomych poznaje natychmiast po głosie, a sprzęty zapomocą zmysłu dotykania; tylko wzrokiem nie umie się posługiwać.

Oczywiście przyczyna tego zaburzenia chorobliwego leży nie w wewnętrznym przyrządzie widzenia, nie w oku, ale głębiej.

Aby zrozumieć możliwość takiego zaburzenia, przy oczach zupełnie zdrowych, musimy sobie przypomnieć, w jaki to sposób widzimy przedmioty. Promienie światła idące od przedmiotu, wpadając w oko, załamują się w niem jako w soczewce i tworzą na tylnej jego ściance, utworzonej z delikatnej tkanki nerwu wzrokowego, czyli na tak zwanej siatkówce, maleńki obraz przedmiotu. W punkcikach tego obrazu, tworzące go promienie świetlne wywołują nieznane bliżej działania siły chemicznej i elektrycznej, które w nerwie wzrokowym sprawiają pewne zmiany, przechodzące po nim aż do tylnego zraza wielkiego mózgu, gdzie znajduje się centralny organ zmysłu widzenia, czyli tak zwany *ośrodek wzrokowy.*

Tu właśnie, niezrozumiałym dla nas sposobem, przeprowadzone przez nerw przedmioty czyli pobudzenia, przetwarzają się na uświadomione wrażenia wzrokowe.

Przy patrzeniu, takie uświadomione wrażenia następują bystro po sobie, nagromadzają się w jakiemś miejscu i w jakiś sposób w pamięci jako wyobrażenia i przez to stają się własnością osobnika, którego dusza może je porównywać między sobą, porządkować i swobodnie niemi rozporządzać.

Gdy nerw przynosi do ośrodka wzrokowego nowe wrażenie wzrokowe, a wyobrażenia nabyte dawniej tą drogą tkwią w pamięci, wtedy dusza może z niemi porównać wyobrażenie nowo-uświadomione i ono staje się naszą własnością, to jest widzimy coś. Jeżeli zaś w pamięci nic się nie utrwaliło z dawniejszych wyobrażeń, wtedy i nowe, którego niema z czem porównać, nie utrwala się, ale także zaciera i ginie bez śladu i patrząc, nic nie widzimy.

Tu właśnie zdaje się leżyć przyczyna ślepoty psychicznej. W mózgu dotkniętych tą chorobą nie utrwalają się w pamięci odbierane wrażenia, więc i nowe zostają jakby nieczynnemi i zacierają się bez śladu, nie przechodząc w wyobrażenia.

I u ludzi zdrowych zachodzą podobne do pewnego stopnia zjawiska. I u nich nie wszystkie wrażenia przetwarzają się w wyobrażenia, a wyobrażenia nieodnawiane, to jest rzadziej powstające, i nie zużytkowane, to jest nieporównywane z innemi, zapominają się stopniowo; obrazy tkwiące w pamięci w tych warunkach bledną i zacierają się zupełnie po niejakim czasie.

Pod tym względem każdy z naszych zmysłów ma własną swoję pamięć, która u różnych ludzi bywa bardzo niejednakowo rozwiniętą. Jeden najlepiej może zapamiętać dany wyraz po kształcie składających go liter, drugi po jego brzmieniu, trzeci po ruchu organów mównych, towarzyszącym jego wymówieniu. U jednego tkwią długo i wiernie w pamięci, z najdrobniejszemi szczegółami, wyobrażenia, utworzone z wrażeń wzrokowych, kiedy tenże sam człowiek nie jest wstanie zapamiętać żadnej melodyi; u drugiego rzecz ma się całkowicie naodwrót. U jednej osoby, jakieś wrażenie wzrokowe może wywołać w mózgu cały szereg obrazów pamięciowych i myśli, u innej wywoła to samo wrażenie słuchowe lub dotykowe i tym sposobem wyobrażenia, nabywane zapomocą rozmaitych zmysłów, mogą się niejako do pewnego stopnia zastępować. Ten fakt dotkniętym ślepotą psychiczną wynagradza częściowo ich kalectwo, powstające z braku wyobrażeń wzrokowych, bo u nich potęguje się działalność innych zmysłów i liczba dostarczanych przez nie wyobrażeń.

Coś podobnego spostrzegamy u ludzi, u których krócej lub dłużej trwająca ślepota oczu została usunięta zapomocą pomyślnej operacyi. Ludzie tacy po odzyskaniu wzroku nie odrazu są w możności posługiwać się nim skutecznie i przez czas jakiś wo-

lą dla poznawania przedmiotów zewnętrznych używać innych zmysłów, zapomocą których już dawniej nagromadziły się w ich pamięci całe szeregi odpowiednich obrazów.

W. Skłodowski.

UZDROWIENIE.

PRZEZ

Florencyą Maryat,

przekład z angielskiego

M. G.

(Dokończenie.)

Powiedziała to szczerze, bez względu na usposobienie, w jakiem znajdowała się w chwili, gdy spadło na nią to niewiadome nieszczęście.

— I kochasz mnie? — pytał mąż. — Wiem że mnie kochasz i że przez wzgląd na mnie okażesz się mężną. Małgorzato... musimy się rozstać.

Nie krzyknęła, nie zemdlała i nie powtórzyła jego słów, ani nie zadziwiła się nad ich osobliwszem znaczeniem, lecz przyszło jej na myśl, że mąż jej postradał zmysły, a tak wyraźnie odbiła się ta myśl na jej wyrazistej twarzy, że John Hartley odgadł ją odrazu.

— Nie, Meg, nie jestem obłąkany, jestem przy zdrowych zmysłach, choć Bóg tylko jeden wie, czy długo to potrwa? Odwróć odemnie oczy, patrz w inną stronę, a spróbuję powiedzieć ci wszystko.

Odwróciła mimowolnie oczy ku drzwiom napół przymkniętym.

Wyrwała się z uścisku męża i wskazała z przerażeniem na korytarz.

— John! widziałam, pewna jestem, że widziałam tam kogoś — wyjąkała słabym głosem, — kogoś ruszającego się w cieniu. Kto to jest? Kto może mieć interes do ciebie i do mnie?

— Ja! — odezwał się głos, którego lata całe nie wymazały z jej pamięci.

W tejże chwili drzwi otworzyły się gwałtownie, a na progu ukazała się postać jej nieżyjącego męża, człowieka o którym sądziła, że spoczywa na dnie morza, Roberta Nelsona.

Gdy się ukazał, John Hartley instynktownie przysunął się do żony i objął ją ramieniem, lecz Małgorzata nie widziała go wcale, ani jego ruchu. Stała jak gdyby zamieniona w posąg, wpatrzona w przybysza szeroko otwartemi oczyma.

— No! jakoś niebardzo uprzejmie mnie witasz, pani Nelson — zawoł marynarz, wybuchając brutalnym śmiechem na widok jej zdziwienia. — Ale może powinienem był napisać z zawiadomieniem o mojem przybyciu? Tylko, widzisz, trzy lata, przeżyte na galerach w Marokko, trzy lata podczas których nie mieliśmy pióra ani atramentu, ani marek pocztowych do korespondowania z przyjaciółmi, tak mnie usposobiły, że nie chciałem tracić ani chwili na pisanie do żony, że powracam upomnieć się o swoje prawa... Bardzo mi przykro, że przeszkodziłem zabawie, ale zdaje się, że nie traciłaś czasu podczas mojej nieobecności, i sądzę, że teraz przyszła na mnie kolej.

I z szyderczem wejrzeniem podsunął się do Małgorzaty, jakby chciał ją wyrwać z objęć męża. Lecz ona przytuliła się jeszcze silniej do niego i szepnęła słabym głosem:

— Zkąd się o tem dowiedziałeś, Johnie? Kto ci powiedział?

Pochylił się, chcąc jej odpowiedzieć, a jego zimne usta dotknęły jej czoła.

— Powracałem do domu. Ach! — dodał, wzdrygając się, — jakiż to był szczęśliwy dom!... kiedy ten człowiek zbliżył się do mnie. W pierwszej chwili nie poznałem go, a gdym go poznał, dzięki składam Bogu za to, żem mu nie uczynił nic złego.

— Ale jakże się to stało, Johnie? Powiedz mi wyraźnie, bo nie mogę nic jeszcze zrozumieć.

— Część załogi rozbitego statku „Marya Joanna" odpłynęła w szalupach w nadziei dostania się do lądu i podpłynąwszy ku brzegom Barbaryi wpadła w niewolę... Przez tezy lata pracowali oni na galerach, Robert Nelson z innymi i dopiero przed miesiącem czy dwoma zostali uwolnieni przez podróżnych Anglików.

— Dalej, książe! — zawołał Robert Nelson, zbliżając się do nieszczęśliwej pary, — nie mogę tu tracić próżno czasu, kiedy ty ugadujesz się z moją żoną. Będę miał możność opowiedzenia jej tego co będzie chciała o mnie wiedzieć, a że dziś jeszcze mam zamiar wyjechać, więc im prędzej się ona przygotuje, tem lepiej!

Gdy wymówił ostatnie słowa, przenikliwy krzyk wydarł się z piersi Małgorzaty.

— Iść z tobą!? — zawołała. — Porzucić męża i wrócić do ciebie!? Nigdy! wolę raczej umrzeć!

— Ale tak, jak rzeczy stoją, moja pani, nie ma wyboru — odparł Robert Nelson. — Należysz do mnie i musisz iść ze mną, to nie ulega wątpliwości, a nie zaręczam, czy nie będę skarżył wikarego za to, że się z tobą ożenił skoro tylko zniknąłem wam z oczu. Było to brzydko z jego strony i jeżeli będę mógł zemścić się za to, to się zemszczę! Tymczasem zabieram swoję żonę...

— Johnie! Johnie! — zawołała Małgorzata z rozpaczą, oczekując pomocy ze strony męża.

— Prawda, moja najdroższa, musimy się rozstać. O! Małgorzato! Oddałbym wszystko co posiadam — powiedział Hartley uroczyście, patrząc na nią smutnemi oczyma, — ażeby się nie stało to, co się stało. Ale to rzecz niepodobna. Zgrzeszyliśmy bezwiednie i grzech ten będzie nam przebaczony... Lecz rozstanie, Meg, cięższe jest dla mnie od śmierci.

— Zatrzymaj mnie przy sobie, Johnie, nie pozwól na to, ażeby on mnie zabrał. Nie mogę z nim iść!

— Jakże mógłbym ciebie zatrzymać, moja najmilsza? — odparł czule. — Jesteś moją żoną, Małgorzato! będę cię zawsze uważał za żonę, ale nie mam już teraz prawa do ciebie i choćby nawet Robert Nelson zrzekł się swoich praw, my musielibyśmy pozostać dla siebie obcy!

— Obcy! — zawołała z wybuchem gwałtownej rozpaczy. — Obcy? wtedy gdy łączy nas taki węzeł! — dodała, podnosząc dogóry śpiące dziecko.

John Hartley popatrzył na nie przez chwilę, a potem z jękiem odwrócił głowę i zakrył twarz rękoma.

— Dalej, Meg! — odezwał się Robert Nelson, opierając szorstko rękę na jej ramieniu i zbliżając swoją nienawistną, brodatą twarz tuż do jej twarzy, — daj-no pokój tym ceregielom i gotuj się do pójścia zemną! Dosyć długo tu stoję, słuchając waszego gruchania. Dosyć już usłyszałem i wiem, że podczas mojej nieobecności byłaś żoną innego, nie potrzebuję teraz stać z wami i słuchać waszego przeklętego mizdrzenia się! Idź nagórę i zapakuj rzeczy. Czy słyszysz co mówię? Za pół godziny musimy już być w drodze!

— Ale bezemnie — odrzekła stanowczo. — Ja z tobą nie mogę iść! Nie chcę! Dokuczałeś mi i obchodziłeś się ze mną źle wtedy, gdy byłam twoją żoną, a potem powiedziano mi, że nie żyjesz i zaślubiłam innego człowieka, a jeżeli nie jestem jego żoną, to nie jestem niczyją. Nie chcę iść z tobą! Żadna potęga w świecie nie zmusi mnie do tego.

Ogorzała twarz uratowanego rozbitka pociemniała jeszcze bardziej pod wpływem uniesienia.

— Zobaczymy to zaraz! — syknął przez zaciśnięte zęby. — Chciałem ci dać czas do zabrania rzeczy, ale teraz musisz iść ze mną bez niczego i to natychmiast!

— Johnie, Johnie, ratuj mnie! — zawołała, biegnąc do męża.

— Małgorzato najdroższa, jestem bezsilny!... Wobec praw twojego pierwszego męża nie mogę nic poradzić. Ma on prawo do ciebie, moje biedne dziecko, a ja nie mam żadnego. Módl się, Małgorzato! módl się ażeby Bóg dodał ci siły do spełnienia obowiązku! Nie pozostało dla nas innej pociechy oprócz modlitwy.

Lecz ona wydzierała się z rąk Roberta Nelsona, upierając się z zaciętością, że nie należy do niego, że nie jest jego żoną i że woli raczej umrzeć, niż do niego powrócić.

— Małgorzato! — przerwał jej spokojny głos Johna Hartley, — posłuchaj mnie i bądź mężną, opór na nic się nie zda. My to zawiniliśmy, choć mimowolnie, ręce nasze są skrępowane, a Bóg, który pozwolił twojemu mężowi powrócić, wymaga ażebyś spełniła swoje obowiązki względem niego tak, jak je spełniałaś względem mnie.

— Nie kochasz mnie, Johnie! — zawołała z rozpaczą. — Nie kochasz mnie tak, jak ja ciebie kocham, bo nie przystałbyś tak łatwo na oddanie mnie, wolałbyś śmierć raczej ponieść!

— Tak łatwo? — powtórzył John z goryczą. — Jeżeli to, co ja czynię, jest łatwem, niech Bóg ma w Swojej opiece tych, którzy mają cięższe obowiązki.

— Dosyć tego! — przerwał szorstko Robert Nelson. — Nie mogę słuchać tych bzdurstw. Połóż tego bębna i chodź ze mną! Nie myślę dłużej czekać!

— Dziecko!? mam się rozstać ze swojem dzieckiem? — jęknęła nieszczęśliwa kobieta, przyciskając śpiącą Daisy do serca. — O Johnie! czyż on ma prawo odbierać mi dziecko? Czy może mnie zmusić do rozłączenia się z niem?

— A więc ja miałbym zostać sam, Małgorzato? — zapytał z rozpaczą John Hartley. — Miałbym postradać żonę i dziecko odrazu? całą radość i szczęście mojego życia? Nie chcesz mi zostawić Daisy, jedynej pociechy dla mojego rozdartego serca?

Pobiegła ku niemu i oddała mu dziecię.

— Moje — szepnęła przerywanym głosem, — moje i twoje, nasze dziecię, Johnie, oddaję je tobie, kochaj je przez pamięć nieszczęśliwej matki!

— Nie mogłabyś zabrać go z sobą w żadnym razie — mruknął Robert Nelson. — Nie życzę sobie, ażeby cudzy bęben hałasował mi w domu, ale dobrze to czasami z potrzeby uczynić cnotę No! czy już jesteś gotowa?

Małgorzata odwróciła się i upadła do nóg tego nieubłaganego człowieka i objęła rękoma jego kolana, jakgdyby chciała duszę całą przelać w to błaganie o powrócenie wolności.

— Robercie! miej litość nademną!... nad nami... Nie będę już nigdy z Johnem Hartley... Opuszczę ten dom, w którym byłam tak szczęśliwa, ale nie żądaj odemnie, ażebym wróciła do ciebie i była twoją żoną... Tu pozostać nie mogłabym, ale powrót do ciebie wydaje mi się jeszcze okropniejszy. O Robercie! miej litość, miej litość nad nami obojgiem! Posłuchaj jak dziecko moje płacze za mną i nie rozłączaj mnie z tem, co mi jest tak drogie.

Lecz było to toż samo, co gdyby oparła głowę na kamiennej ścianie i błagała kamień o odpowiedź na swoje namiętne prośby.

Jedyną odpowiedzią był śmiech brutalny Roberta Nelsona, a żelazna ręka uchwyciła ją za ramię i pociągnęła gwałtem ku drzwiom otwartym. Poczuła wtedy, że los jej już rozstrzygnięty i że niema dla niej żadnej nadziei na tym świecie.

— Niech cię Bóg wynagrodzi za twoję miłość, Johnie! Byłam niewdzięczna, często niecierpliwa, niezadowolona, niedbała, lecz mimo to wszystko kochałam cię wiernie... O! nie zapominaj o mnie, choć mnie tu nie będzie!...

To były jej pożegnalne słowa, gdy Robert Nelson powlókł ją ciemnym korytarzem ku drzwiom wchodowym.

— Nie zapomnę nigdy o tobie, moja ukochana, i... zobaczymy się jeszcze... Magdaleno... pamiętaj o tem!...

Jedno jeszcze spojrzenie na tego, którego uważała za męża, i sroga ręka uciskająca jej ramię wyciągnęła ją na ulicę, na deszcz padający niemiłosiernie.

Była z gołą głową i niezabezpieczona niczem od niepogody, lecz nie zadziwiło jej to, gdyż pamiętała brutalne obejście Roberta Nelsona z dawnych czasów. Deszcz padał jeszcze gwałtowniejszy niż przedtem, w kilka minut przemokła suknia obciągnęła się na niej, a w trzewikach pluskała woda; pomimo to smutek i obawa tego człowieka, w którego moc dostała się napowrót, nie dozwalały jej myśleć o niczem innem, oprócz o tych dwóch drogich istotach, pozostawionych w starym domu, i o tem żelaznem dotknięciu, które paliło jej ramię jak rozpalone żelazo.

Przynaglał ją coraz bardziej, nie folgował ani na chwilę tej nieustającej męczarni przymusu; nie powiedział ani jednego serdecznego słowa, gdy ona, wysilając się na dotrzymanie mu kroku, nie śmiała podnieść oczu na tę posępną, groźną twarz i oczy, których spojrzenie czuła na sobie nieustannie.

Nie zapytała nawet, dokąd ją prowadzi. Mijali jednę po drugiej stacye dorożek, lecz Robert Nelson nie proponował jej żeby wsiadła, a ona nie śmiała prosić go o to. Mogliby tak iść na koniec świata, zanimby ona zapytała lub zatroszczyła się gdzie idą. Była zdolna myśleć tylko o dwóch rzeczach, o żalu nad przeszłością i o obronie przed przyszłością.

Wreszcie, gdy już przeszli, jak się Małgorzacie zdawało, parę mil po ciemnych i zabłoconych ulicach, Robert Nelson, nie puszczając jej ramienia zawrócił nagle w innym kierunku i wprowadził ją na stacyą kolei żelaznej. Ruchliwa, pełna wrzawy stacya, na której rozlegało się dzwonienie, tłoczyli się podróżni, posługacze nawoływali. Pociąg miał zaraz wyruszać, w chwilę później Małgorzata jechała już w ciemną, nieznaną dal, jako jedyna towarzyszka Roberta Nelsona, w przedziale pierwszej klasy. Wsunęła się w kąt wagonu i pogrążyła w myślach.

Wtedy śród zimnej i ciemnej nocy, przy słabem świetle olejnej lampy, palącej się na środku wagonu, przyszły jej na myśl te drobne niezadowolenia, któremi zgrzeszyła właśnie dziś, i zaczęły udręczać jej sumienie. Cóżby dała za to, ażeby znowu być panią tego posępnego domu, gdzie gość bywał rzadkiem zjawiskiem, a przyjemności (w znaczeniu jakie świat do tego przywiązuje) nieczęsto się trafiały. Jakże rozkoszne wydawały się jej teraz te spokojne chwile, spędzane na piastowaniu dziecka lub przy pogardzanej maszynie. Jakież spokojne i miłe, wolne od sprzeczek i niechęci, bywały te wieczory, gdy John, znużony całodzienną pracą, prosił jej ażeby odłożyła robotę i razem z nim wypoczywała, latem zabierał ją na włóczęgę, dopóki niebo nie zajaśniało gwiazdami, zimą zaś przysuwał swoje krzesło do jej krzesła i trzymał ją za rękę, mówiąc jak bardzo ją kocha, i opowiadał o przyszłości i o swoich widokach.

Porównywając obecne uczucia z temi, jakie żywiła przed kilkoma godzinami, zadrżała Małgorzata na myśl, jak niewdzięczną była względem Boga za dobrodziejstwa, któremi ją obsypał i sama sobie wydała się nienawistną.

— Czemu nic nie mówisz, Meg? — przerwał jej rozmyślania chrapliwy głos Roberta Nelsona.—Siedzi tu obok ciebie twój prawy małżonek, który powrócił po trzyletniej przeszło nieobecności, a ty nie masz mu nic do powiedzenia? Czy się dąsasz, czy śpisz?

— O, nie pytaj! — zawołała nieszczęśliwa kobieta.—Nie mów do mnie. Nic nie mam ci do powiedzenia!...

— Ale będziesz musiała mówić, jeśli mi się spodoba — odparł, siadając naprzeciwko niej. — Spojrzyj na mnie, moja pani, zawsze byłaś trochę twarda do kierowania, a o ile mi się zdaje, wikary swoją dobrocią niewiele cię poprawił. Ale co jemu wystarczało, jak wiesz, mnie nie wystarcza. Znasz mnie dobrze, więc ci mówię raz nazawsze, że ze mną to nie ujdzie! Możesz krzyczeć ile ci się spodoba, ale teraz żądam ażebyś ze mną rozmawiała. Opowiadaj mi o tem, co było w czasie mojej nieobecności?

— O! nie... nie o tem!... — zawołała z rozpaczą.

— A kiedy mnie się tak podoba!

— Nie mogę!

Twarz Roberta Nelsona przybrała wyraz gwałtownego gniewu; wyjął z kieszeni pęk sznurów, na widok których Małgorzata wzdrygnęła się, a on to zobaczył.

— A! przypomniałaś to sobie, prawda? — zapytał szyderczo. — Spróbujesz tego znowu, moja miła, jeżeli rozpoczniesz dawne żarty! Chodź, usiądź u mnie na kolanach.

Był on jej mężem, lecz samo jego dotknięcie teraz, gdy miała w świeżej pamięci szlachetne obejście Johna Hartleya, wydawało się jej obelgą. Usunęła się żywo.

— Chodź, Meg! zrób o co cię proszę.

— Nie żądaj tego odemnie!... Błagam cię, nie żądaj...

— Czy ma być wojna, czy zgoda między nami?

— Wojna — zawołała z rozpaczą, — jeżeli będziesz wymagał oznak miłości odemnie!

Krzyknęła, bo on podniósł rękę, chcąc ją uderzyć, a jego ciemne oczy patrzyły z taką złością, jakby miał zamiar zabić ją na miejscu.

Lecz krzyk jej pomieszał się z innemi krzykami i utonął wśród wrzawy, a podniesiona jego ręka opadła nie z jego woli, lecz skutkiem potężnego wstrząśnienia, które wagon ich wraz z innemi wysadziło z szyn i zrzuciło z nasypu w dół, gdzie spadły pogruchotane w kawałki.

Pociąg uderzył o drugi pociąg i straszne były następstwa.

Małgorzata nie wiedziała co się stało, czuła tylko, że leży zmiażdżona pod szczątkami połamanych wagonów i że życie z niej ucieka powoli.

Nie żałowała życia, nie czuła żadnej trwogi, była tylko wdzięczna Bogu, że pozwala jej umrzeć.

— Nie dotykajcie mnie... — szepnęła, gdy ktoś położył rękę na jej ramieniu. — Nie dotykajcie mnie! Umieram... Bogu niech za to będą dzięki!

Lękała się, że dotknięcie może ją przywołać do życia, obawiała się, że jaki miłosierny Samarytanin zechce zatrzymać w niej to życie, które od chwili gdy postradała Johna Hartleya, stało się dla niej klątwą...

* * *

— Nie dotykajcie mnie! — szepnęła jeszcze raz, gdy dotknięcie powtórzyło się znowu.—Zostawcie mnie w spokoju!

— Zostawić cię w spokoju, żoneczko? Kiedy ogień wygasł, w pokoju zimno jak w piwnicy, a ja czekam na herbatę? Cóż to się stało mojej pracowitej pszczółce, że śpi przed kominkiem wtenczas, gdy mąż jej potrzebuje? Co ci się stało, Meg? Czyś słaba, moja najdroższa, czy tylko zmęczona?

Małgorzata Hartley zerwała się na równe nogi. W pokoju było zupełnie ciemno, dziecko spało głęboko w jej objęciach. Jakże też mogła drzemać, kiedy tyle było do roboty!

Lecz w chwilę potem sen stanął jej na myśli i uczuła głęboką ulgę, jakiej doznajemy zawsze, gdy się przekonamy, że obawy nasze były płonne, a potem zalała się łzami radości.

— O! Johnie! Johnie! — zawołała, rzucając się mężowi na szyję. — Śniło mi się żem cię postradała, że byliśmy zmuszeni rozstać się z sobą!

— Niechże Bóg broni, moja miła! — odrzekł z powagą. — Mam nadzieję, że już nic nas nie rozłączy, chyba śmierć. Ale oddaj mi Daisy, Małgorzato, a sama zapal świecę i zrób herbatę. Jestem głodny jak chart i będę chwalił wszystko, co mi dasz do zjedzenia.

Otarła oczy i zajęła się przyrządzeniem jedzenia, a wdzięczność za to, że to wszystko było tylko snem, rozradowała jej serce. W parę minut już ogień płonął na kominku, zapalona świeca stała na stole, a Małgorzata postanowiła dać mężowi kawałek innego mięsa, z zapasów przeznaczonych na jutrzejszy obiad. Po powrocie ze spiżarni zastała męża huśtającego na kolanach dziecko i przyśpiewującego mu wesoło. Co się stało, że on, zawsze poważny i zamknięty w sobie, był tak wesoły dzisiejszego wieczoru? Małgorzata pomyślała patrząc na jego rozjaśnioną twarz i wesoły głos, że nigdy jeszcze nie widziała, ażeby był tak ożywiony.

Lecz wmiarę jak jego dobry humor wzrastał, ona smutniała coraz bardziej. Wyrzut sumienia przygniatał jej serce, wesołość męża stała w rażącem przeciwieństwie z uczuciami, jakie ją opanowały po południu, a im więcej myślała nad tem i nad swoim snem, tem bardziej pogardzała sobą za to, że się dała im owładnąć.

Była przygnębiona i blizka płaczu przez cały wieczór, a uwagi, jakie mąż jej czynił, wpływały na zwiększenie jej pokory i pomieszania, które dla niego były niezrozumiałą tajemnicą.

— Nie jestem godna być twoją żoną, Johnie! — zawołała nagle. — Jestem daleko gorsza, niż myślisz. Ach! gdybyś wiedział wszystko!...

John roześmiał się i upewnił ją, że nie przestraszyłby się, choćby nawet wiedział „wszystko.” Zanadto był pewny uczciwości swojej żony i jej miłości dla siebie.

— Która godzina? — zapytywał John Hartley parę razy wciągu wieczora.

— Dlaczego tak się dopytujesz o godzinę, Johnie? — spytała żona. — Czy masz jeszcze wyjść? Spodziewam się że chyba nie, bo pada jeszcze więcej, niż przedtem!

I wzdrygnęła się, wspomniawszy jak szła (we śnie) po deszczu, z gołą głową, prowadzona żelazną ręką Roberta Nelsona.

— Wcale nie — odparł mąż. — Skończyłem już na dziś robotę. Ale jednak niepokoi mnie która godzina i chciałbym żeby już była dziewiąta...

— Już musi być dziewiąta — powiedziała Małgorzata, wyjrzawszy zpoza firanki, — bo listonosz jest przed sąsiednim domem.

John Hartley zerwał się z krzesła i stanąwszy za żoną, oparł ręce na jej ramionach.

Jakże drżał, a może to jej postać drżała pod jego ciężarem?

— Czy listonosz idzie do nas? — szepnął wzruszony.

Cóż u Boga mogło to obchodzić Johna, który tak rzadko odbierał i pisywał listy?

— Idzie czy nie? Małgorzato! tak... nie!... tak... idzie!... Wiwat!... moja najdroższa... wszystko dobrze!

I pocałowawszy ją z zapałem, poskoczył jak chłopiec na korytarz i otworzył sam drzwi do sieni.

— Jest!—zawołał, wpadając do pokoju z otwartym listem w ręce. — Nie mogłem ci mówić wcześniej, moja droga, bo nie chciałem ci robić zawodu, ale widziałem się dziś po południu z lordem Chester i byłem już prawie pewny!

— Czego? czego byłeś pewny? — zapytała żywo.

— Tego że będziemy mieszkali na wsi, w tej samej wiosce gdzie mieszka moja matka i siostry. Ach! teraz będę już mógł zawieść was tam, Meg, moja ukochana!... Zawieść moję żonę i moją córeczkę i pokazać mojej rodzinie, że mam z czego być dumnym! Zawieść was na jedno z najpiękniejszych probostw w całej Anglii, do takiego domu o jakim zawsze marzyłem, gdzie Daisy będzie biegała po trawie a my będziemy mieli ogród i łąkę i będziemy chowali krowy, i świnie i kury... i... i... Ale co ci to, moja ukochana? Płaczesz!? A ja sądziłem, że będziesz taka szczęśliwa!...

— O! Johnie! Johnie! — zaczęła łkać biedna kobieta. — Nie zasłużyłam na to, doprawdy nie zasłużyłam!... Przytul mnie do serca, Johnie, i pozwól mi opowiedzieć wszystko. Nie uspokoję się, dopóki nie uzyskam od ciebie przebaczenia!

I złożywszy głowę na piersi męża, a ręce mu zarzuciwszy na szyję, Meg Hartley wyznała mu wszystko, i swoje dawniejsze niezadowolenie, i żal obecny, i uzyskała zupełne przebaczenie.

Z TYGODNIA

W liściach sypiących się z drzew, pożółkłych jak konająca starość, w spóźniających się coraz bardziej promieniach słońca, w przejmujących powiewach, w rzednących tłumach, we wszystkiem czuć już jesień, która, chociaż dotąd prześliczna i uśmiechnięta, smutna jest, niepewna, grożąca lada chwila zmianą na gorsze.

Już się też rozpoczęły jesienne starania około gromadzenia środków pomocy dla tych, którzy jej w niedalekiej zimie zapotrzebować mogą. Myśli się przeto o „Gwiazdce” przedświątecznej, projektuje się różne koncerty i rauty, odwołuje się zawczasu do współdziałania mas w pięknem dziele filantropii.

A drożyzna z dniem każdym rośnie, ukazując wielu biedakom niedalekie już może widmo głodu. Że dla wielu przyjść ono musi, to nie ulega wątpliwości. Popodnoszone ceny na wszystkie produkty spożywcze nie mogą być wynikiem spekulacyi, ani zmowy, jak się to błędnie przypuszcza. Jeżeli udało się kilkunastu przekupniom podnieść ceny kartofli na jednym z targów, to sama różnica z targami innemi odrazu zaświadczyła o zmowie, w rozmiarach wielkich i na przestrzeniach obszernych niemożliwej. Wszakże w podobnych przypadkach nieuczciwość spekulacyjna popycha tak samo jednych do zniżania cen, jak innych do podwyższania. Drożyzna obecna jest najprostszem następstwem lichych zbiorów, złych rezultatów żniwa, które w wielu miejscach nie opłaciło samego siebie.

Magistrat warszawski usiłował wejrzeć w sprawę drożenia chleba i po konferencyi z piekarzami udało mu się tylko u *sześciu* wyjednać obniżkę ceny bochenka o grosz na funcie! Pomyślniejszego rezultatu osiągnąć się nie dało. To znaczy, że sprawa, rozpatrywana nawet z oficyalnego punktu widzenia, wygląda dosyć czarno. To znaczy, że jest źle, że może być gorzej, że złego przyczyny mają grunt realny, na którym róże kwitnąć nie mogą. W sprawie, o której chodzi, wykwitną na niej niedostatek, nędza, głód.

Wobec takiej perspektywy niewiadomo, czy dobrzeby było zalecać oszczędność, chyba pod warunkiem, żeby ludzie nie oszczędzali dla siebie, lecz dla bliźnich. Chociaż z drugiej strony ludzi takich obecnie jest chyba bardzo niewielu. Wszak-ci to niepodobna oszczędzać, gdy niema z czego. Dzisiaj nikt nie robi dobrych interesów, nawet lichwiarze, na których padł popłoch, bo zanosi się na to, że może będą musieli znaleźć się oko w oko z prawem. Formują się bowiem listy tych ichmościów, potrzebne do tego, aby się wiedziało z kim się ma do czynienia i jak liczną jest ćma pijawek, żyjących krwią ludzką.

— Takie teraz podłe czasy — skarżył się jeden z lichwiarzy, — że Żydkowie nie mogą już spekulować pieniądzem. Jak wszystek kredyt upadnie, to licho weźmie i wielkie państwo, i wszystkie przyjemności, i literaturę i sztukę...

A w tej wróżbie tkwi ostry cień najprawdziwszej rzeczywistości. I wielkie państwo, i wszystkie przyjemności, i literatura i sztuka są tak odłużone, że skoro kredytu zbraknie, padać to będzie, niby gruszki z drzewa. Trzyma się to jeszcze, jak między wyrokiem a egzekucyą, z łaski kredytorów, ale gdy im przyjdzie chętka dąsania się i... przysłania pana komornika — niewielu się ostoi wobec tych dąsów.

Nie wiem doprawdy, czy usiłowania ujęcia lichwy w ostre karby kodeksu kryminalnego osiągną cel. Po wszystkie czasy mocowano się z tą hydrą stugłową, której jednak łby zostały nienaruszone. Może dlatego, że lichwa nie jest pierwszą przyczyną niedostatku, ale jego pierwszem następstwem, że jest dla niego takim samym specyfikiem, jak smołowe pigułki na kaszel i plaster na odciski. Biedni ludzie chwytają się tego środka, jak tonący brzytwy, która przecież kaleczy i rani. I co gorsza, sami się jej zaprzedają w niewolę, sami wynajdują sposoby zabezpieczania zdzierstwa przed prawem, bo nie o jej uczciwość im chodzi, lecz o pomoc w chwili rozpaczliwej. Zdaje się że i nadal tak będzie — mimo surowości przepisów prawa, mimo groźby i kar. Niezwalczeni sprzymierzeńcy lichwy to nędza, lenistwo, zbytek, lekkomyślność i życie nad stan.

Czyście widzieli, moi państwo, świeżo wystawioną na scenie Wielkiej sztukę Szekspirowską, pod tytułem „Jak się wam podoba?” Jakże się wam ona podoba? Co myślicie o pięknej Rozalinie, o dowcipnym Błaźnie, o zgryźliwym, zgoryczonym Jakubie, o dzielnym, sympatycznym Orlandzie, gamoniowatym Sylwiuszu, kapryśnej Fabe i uroczystym a czarującym Hymenie? Dziwna to bajka, dziwni ludzie, dziwna sytuacya — wszystko tam dziwne, a najdziwniejsza piękna fantazya genialnego autora, który w tej swojej sielance, niby w zwierciadełku, pokazał kawałek ludzkości. Przypatrzcie mu się dobrze — to wy, my, oni, wszyscy — jak na codziennej scenie życia.

Książę wygnany przez brata ze swoim dworem, błąkający się w jakimś lesie ardeńskim, para kochanków, którzy przychodzą tam także — Błazen filozofujący dowcipnie, z humorem a bez goryczy, rozpiołunowany pesymista, szydzący zjadliwie nawet z siebie samego, kilka postaci ludowych, prostych jak natura, która ich otacza — oto czynniki przepysznego obrazu, pełnego życia, w którym niewiele jest prawdopodobieństwa, ale dużo... prawdy. Pod wpływem uroków leśnych drżą tam serca miłością, umysły tętnią swobodą, konwenanse uciekły precz, cywilizacya została daleko; sytuacya jest dziwna, niemożliwa między ludźmi, ale niezmiernie podatna dla potężnej fantazyi swego twórcy, który na jej tle barwnem snuje złote nici obserwacyj i aforyzmów, humoru i mądrości.

Odegrano sztukę i wystawiono prześlicznie, daleko lepiej niż dotychczas wszystkie inne dzieła Szekspirowskie na scenie tutejszej. Pani Lüdowa, panowie Frenkiel, Ładnowski, Prażmowski — prym trzymali, stojąc na wysokości zadania. Całość zresztą była poprowadzona umiejętnie, troskliwie wystudyowana, wypracowana w najdrobniejszych szczegółach.

Przyklasnąć jej trzeba i... podziwiać jaknajczęściej.

A w operze dano też nowość prześliczną: dzieło Piotra Mascagna, pełne wrzącego, młodzieńczego talentu, który zajaśniał nagle, niespodziewanie, czarująco. To zapowiadana oddawna „Rycerskość wieśniacza,” tylko jednoaktówka, drobna rozmia-

rem, ale warta tego, by o niej pomówił obszerniej specyalny sprawozdawca naszego pisma.

I dlatego nateraz o tem — *basta!*

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

---

* **Upiększenia i studnie.** Do najważniejszych upiększeń naszego miasta, zamierzonych w blizkiej przyszłości, ma należeć rozszerzenie i przetworzenie skweru na placu Teatralnym, a to głównie celem zamaskowania niezbyt rzeczywiście estetycznych budynków, a raczej budek, mieszczących w sobie przyrządy do wtłaczania świeżego powietrza do teatru. Naturalnie jak wszelkie upiększenia, tak i ta reorganizacya skweru tylko pożądaną być może; tylko zamiar usunięcia dwóch studni, po obu stronach dzisiejszego skweru istniejących, nasuwa nam pewne uwagi. Nie chodzi nam o te właśnie dwie studnie specyalnie, ale o kasowanie studni publicznych wogóle.

Kasujemy je, żeby poskromić upartych właścicieli domów, którzy posesyj swoich z wodociągami połączyć nie chcą; kasujemy je dla względów estetycznych; liczba ich zmniejsza się tym sposobem z dniem każdym, gdyż niesłychać, aby w miejsce skasowanych gdzieindziej powstawały nowe. A jednak studzien takich wymaga interes, wygoda i bezpieczeństwo publiczne. Po większych a nawet mniejszych miastach za granicą, gdzie wodociągi dużo wcześniej niż w Warszawie zaprowadzone zostały, istnieją mimo to, po wszystkich mianowicie główniejszych placach, studnie publiczne i to po większej części artezyjskie, wodotryski bijące nieustannie.

I my wprawdzie mamy wodotryski, na przykład w ogrodzie Saskim, na skwerze owym właśnie przed teatrem, na skwerze Krakowskiego-Przedmieścia i jeszcze tu i owdzie, ale u nas są to właściwie tylko miejsca na wodotryski, w których woda ukazuje się jedynie od wielkiego dzwonu, kilka razy do roku. Dni te stanowią nasze *jeux des eaux*, tylko odrobinkę skromniejsze od wersalskich.

W takiem tedy położeniu rzeczy, studnie zwyczajne publiczne są koniecznością i znoszenia ich, nawet ze względów egzekucyjnych i estetycznych, zadaleko posuwać nie można.

* **O Pawlaku.** Dawno już zbrodniarz, morderca i złodziej nie używał u nas takiego rozgłosu, jak Pawlak, znany sprawca onego mordu i rozboju na kolei żelaznej. Stał on się legendowym prawie, nietyle ze względu na swoję osobistość, która niczem się nie odnacza, ile zpowodu licznych *qui pro quo*, popełnionych przez tych, którzy sądząc, że mają już w ręku osławionego łotra, chwytali osoby Bogu ducha winne i z Pawlakiem żadnej styczności niemające.

Że takie *qui pro quo* bywały to nad wyraz czasem komiczne, a czasem znów niezmiernie przykre dla niewinnie posądzonych, to się samo z siebie rozumie.

Dlatego już samego, opinia publiczna radaby raz usłyszeć o schwytaniu zbrodniarza, ale o schwytaniu naprawdę; fałszywe bowiem wieści o tem, już to wskutek owych pomyłek powstałe, już też może przez samego rozbójnika puszczane, rozchodziły się już nie raz. Ciekawa rzecz, czy do tej kategoryi zaliczyć przyjdzie i najświeższą wieść, jakoby Pawlak poznany został aż w Brazylii i po sprawdzeniu tożsamości miał być tutaj odesłany. Gdyby tak było, sprawdziłoby się na nim przysłowie o tym, co to morze przepłynął, a na Dunajcu zginął. I życzyćby należało, żeby ta wieść się sprawdziła; Pawlak i jego zbrodnia znane są wszystkim, a bezkarność, która dotąd była jego udziałem, bardzo demoralizująco działa na massy. Przeciwnie, schwytanie go i ukaranie, choć późne, wpłynęłoby na powściągnięcie niejednej pokusy do złego, na zniweczenie w zarodku niejednego kiełkującego ziarna zbrodni. „Pan Bóg nie skwapliwy ale sprawiedliwy!" pomyślałby sobie jaki taki i odepchnął podszepty kusiciela, albo własnych swych skłonności.

Powtarzamy tedy, że schwytanie Pawlaka byłoby bardzo pożądane, ale żeby ono miało nastąpić w Brazylii, wątpić, niestety, wypada mocno. Od czasu rewolucyi, wygnania don Pedra i zaprowadzenia republiki, Brazylia stała się właśnie ziemią obiecaną dla ludzi chcących ujść przed okiem i ręką sprawiedliwości. Ciągłe zaburzenia, wpośród których nikt, nawet prezydent nowej rzeczypospolitej, nie jest bezpieczny, przedstawiają właśnie najlepsze warunki dla bezpieczeństwa łotrów i zbrodniarzy. Trzebaby nadzwyczajnego chyba trafu, żeby wśród takiej mętnej wody taka ryba jak Pawlak złowić się dała.

No, ale wreszcie kto wie? Zawsze to łaska Boska większa, aniżeli złość ludzka...

* **Polowanie na lichwiarzy.** Mamy tę błogą nadzieję, że czytelnicy a tem bardziej czytelniczki nasze nie mają nic do czynienia z lichwą i lichwiarzami.

Ponieważ jednak prawdopodobnie każdy z nas, choć bezpośrednio nieinteresowany, ma jednak bliższych lub dalszych znajomych i przyjaciół, zmuszonych do utrzymywania pewnych stosunków z tymi „dobroczyńcami ludzkości," więc może dla nikogo obojętną nie będzie wiadomość, że temi dniami odbyła się rewizya u indywiduów podejrzanych o trudnienie się lichwiarskim procederem i 14 zpomiędzy nich zakwalifikowano do wykupienia świadectw gildyjnych.

Jest-to niewątpliwie akt wymierzenia należnej sprawiedliwości; czy on jednak wpłynie na ukrócenie lichwy, to jeszcze wielkie pytanie. Jedni z tych ichmościów, będą tylko nadal w operacyach swoich ostrożniejsi, ale tę subiekcyą każą klientom swoim opłacać; inni, zapłaciwszy gildyą, wydatek ten z procentem także ściągną z tych, co „usług" ich będą potrzebowali.

* **Teatr maryonetek.** W teatrzyku „Eldorado" rezyduje obecnie trupa... maryonetek. Wcale zręczna maszynerya tego teatrzyku, dającego przedstawienia w niedziele po południu, może stanowić miłą a niewinną zabawkę dla dzieci, pod osobistym dozorem rodziców lub opiekunów, w każdym razie lepszą od tych zabaw gromadnych, hałaśliwych, publicznie urządzanych w miejscach niewłaściwych i pod niewłaściwym kierunkiem, które poczęły u nas wchodzić w modę za inicyatywą smutnej pamięci naszego ogrodu Zoologicznego.

G. Cz.

LOGOGRYF.

Wyrazów 15. Litery początkowe składają imię i nazwisko znanej powieściopisarki, a końcowe imię i nazwisko poetki polskiej.

Sylaby: e-nel-row-ze-an-ka-do-że-rzyc-na-or-ke-o-rum-er-bon-szew-wilk-gor-bo-lal-ko-i-ski-sierp-scy-bro-zbo-me-szak-ry-ry-kra-non-za-a.

Znaczenie wyrazów:

1. Stolica kraju w Azyi zachodniej.
2. Zabawka dzieci bardzo upowszechniona.
3. Książę ruski.
4. Można rodzina za czasów Stefana Batorego.
5. Jedna z części świata.
6. Gromada ludzi.
7. Słynny bandyta włoski.
8. Imię męzkie.
9. Rzeka w Hiszpanii.
10. Narzędzie rolnicze.
11. Przesąd.
12. Powieściopisarz polski.
13. Rzeka wpadająca do Narwi.
14. Zwierz dziki.
15. Miasto i port nad morzem Adryatyckiem.

Adela Rompielska.

Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i dla wszystkich prenumeratorów prospekt wydawnictw Plato v. Reussnera.

Główny Skład Dywanów i Towarów Manufakturnych
GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA
w Warszawie, Marszałkowska Nr 137 nowy.

Niniejszym mam zaszczyt zawiadomić J. W. P., że pomimo większego zaasortowania **Składu dywanów i materyałów meblowych**, jak lat poprzednich, powiększyłem skład jeszcze o jeden pokój, w którym się mieści specyalny wydział towarów **bławatnych**, zaopatrzony w najświeższe materyały, w najmodniejszych deseniach i najlepszych gatunkach, jako to: **wełny** na suknie podwójnej szerokości, od 30 kop., **flanele** od 60 kop., **pokrycia na futra** od 84 kop., materyały jedwabne od 80 kop., adamaszkowe jedwabne od 1.50 kop., **atłasy** od 42 kop., oraz wielki wybór szali jedwabnych, chustek orenburgskich wełnianych i pledów. Jestem przekonany, że ze względu na ceny bardzo przystępne i nadal uzyskam łaskawe względy i zadowolenie, z czem się polecam.

Z uszanowaniem i gotowością do usług *za Giełżyńskiego Piotra*

Zarządzający składem **H. RADECKI.** 150—1—3

CENY NIZKIE.

Oliwa Nicejska.
Ocet winny.
Essencya Octowa.
Szafran i Wanilla.
Perfumy.
Woda Kolońska.
Mydło krajowe i zagraniczne.
Gąbki i Wyroby gumowe.
Środki opatrunkowe.

Skład mat. aptecznych

Trzciński, Urbanowicz i Różycki,

Krakow.-Przed. 17

wprost kościoła po-Karmelickiego,
w WARSZAWIE.

W NAJLEPSZYM GATUNKU.

POLECAMY NAJLEPSZE I NAJTAŃSZE

KRAK. PRZED. Nr 47. — **CUKRY DESSEROWE** — NOWY-ŚWIAT Nr 5.

FABRYKI

B. M. Śniegockiego,

w Warszawie, 141 MARSZAŁKOWSKA 141 (wprost Rysiej).

CENNIK:

1 funt Cukrów Desserowych najlepszych w pudełku	50 k.	1 funt Karmelków nadziewanych	25 k.
1 funt Czekoladek w pudełku	60 k.	1 funt Cukrów Angielskich	30 k.
1 funt Nugat	50 k.	1 funt Marmoladek	30 k.
1 funt Fruktów osmażanych	50 k.	1 funt Jasnych Pralin	80 k.

Soki i Konfitury w różnych gatunkach. Duży wybór Bombonierek. 155 1—3

D-r Med. ADOLF KOZERSKI, 1118—12

odbywszy praktykę szpitalną jako hospitant kliniki profesora Kaposi'ego w Wiedniu, udziela porady lekarskiej w chorobach skórnych i w... Od 1—2 przyjmuje wyłącznie kobiety.

Nr 3. PRÓŻNA Nr 3.

SKŁAD FUTER
KAROLA ROTHER
(dawniej Radau).

153 2—3

W dniu 9 b. m. przeniesionym został z ulicy ***Bielańskiej Nr 5 na tąż ulicę pod Nr 1 róg Senatorskiej*** vis à vis w-go Bruna. Magazyn został znacznie powiększony i zaopatrzony w bogaty wybór wszelkich futer. Przyjmuje również wszelkie zamówienia. ***Ceny przystępne.***

SPECYALNA SZKOŁA

KROJU I SZYCIA

EUFEMII PILNIAKOWSKIEJ,

uczennicy słynnego w Paryżu

Vorth'a.

Krój najlepszy i najłatwiejszy w Europie systemem oryginalnym ***Vorth'a.*** Zapis uczennic codzienny. Patenty uzdolnienia wydają się potwierdzone przez Wyższą Władzę.

112 3—6

PENSYONARKI PRZYJMUJĘ SIĘ

Rs. 10 Gruntowna nauka kroju sukien i wszelkich okryć damskich. Rs. 10

PRZY SZKOLE

PRACOWNIA SUKIEN

gdzie takowe wykonywane są przez najpierwsze specyalistki, podług najświeższych żurnali paryzkich.

Ceny bardzo przystępne.

Nr 54. NOWY-ŚWIAT Nr 54.

SZUWAKS! SZUWAKS! SZUWAKS!

FABRYKA WYROBÓW CHEMICZNYCH

Szuwaksu Glicerynowego

znacznie ulepszonego, oraz

ATRAMENTÓW

Jerzego Filtza

b. 7-letniego kierownika Fabryką S. Glińskiego,
w Warszawie, Chłodna 12.

1 12

!!SZUWAKS!! !!SZUWAKS!! SZUWAKS! SZUWAKS! SZUWAKS!

ŁUDWIK ORTHWEIN
MAGAZYN TAPICERSKO-DEKORACYJNY

(Plac Teatralny)

12 SENATORSKA 12

(Pałac Blanka.)

108 7—8

Rs. 10. 131 4—4

Gruntowna nauka **kroju** szycia i upinania w szkole Rękodzieł **Pauliny Stokowskiej.** Krój **Vorth'a** wykładany przez osobę świeżo z Paryża przybyłą, mającą własnoręczne świadectwa entreprenera **sławnego Feliksa Amelij Vorth'a.** Przytem są wykładane inne rzemiosła.

WARSZAWA NOWY-ŚWIAT 4

Cena rs. 5, zniżona na rs. 2.
Pisma Gabryeli
(Narcyzy Żmichowskiej).

Wydanie zbiorowe w 5-ciu tomach z życiorysem autorki skreślonym przez D-ra Piotra Chmielowskiego, nabyć można z pozostałej jeszcze liczby egzemplarzy po cenie znacznie zniżonej w księgarni H. I. Rosenweina, Marszałkowska Nr 114 w Warszawie. Cena rs. 5 zniżona rs. 2, z przesyłką rs. 2 kop. 50.

SPECYALNY MAGAZYN FUTER I OKRYĆ DAMSKICH

145 2—6

przy ulicy Niecałej № 14

JÓZEFA SKWARY.

PIERWSZY DOM OD OGRODU.

Poleca **wielki wybór okryć** na sezon bieżący w najświeższych fasonach podług ostatnich modeli osobiście z pierwszorzędnych domów sprowadzanych i wykonywanych przez krawców specyalistów a zarazem **przy magazynie okryć otworzyłem oddział materyałów bławatnych na suknie i okrycia** od skromnych do najwykwintniejszych, po cenach niepraktykowanie nizkich, jak np. materyały z czystej wełny od 40 kop.

W Warszawie. 106—9—12

FABRYKA KWIATÓW

A. Rastawieckiej,
Bielańska 8,

MAGAZYN MÓD

FABRYKA KWIATÓW,

wielki wybór kapeluszy damskich
podług modeli paryskich poleca

WANDA SIWIŃSKA

Krakowskie-Przedmieście 61
wprost Resursy Obywatelskiej.

FABRYKA

Kapeluszy słomkowych, filcowych, i kwiatów sztucznych

oraz MAGAZYN MÓD,

E. LOTH

przy ulicy Krak-Przedmieście Nr 17. 147 2—4

Poleca na obecny sezon **Kapelusze** dla Pań i dzieci, filcowe gładkie, pluszowe i Plumowe (puszaste z długiemi włosami) lakierowane marynark itp. **Bereciki i czapeczki** fantazyjne dla dzieci **Magazyn Mód** zaopatrzony w wybór kapeluszy z ubraniem od cen nizkich. Przyjmują się kapelusze wszelkiego rodzaju do przerobienia. **Sprzedaż hurtowa i detaliczna.**

L. MERGENTHALER I SYN

ZAKŁAD

tapicersko-meblowy

6 KRÓLEWSKA 6,

W WARSZAWIE.

1137—10

Mme LUCIE 1442—12 Czesze elegancko Panie u siebie i na mieście. **Zgoda 5, miesz. 2.**

S. PRZEZDZIECKI.

Magazyn ubiorów DLA DZIECI, mundury i szynele DLA UCZNIÓW. 1106—12

Kotzebue Nr 2, róg Wierzbowej.

W zakładzie pożytecznych zajęć i zabaw gimnastycznych dla dzieci, MARSZAŁKOWSKA Nr 119, zapisy przyjmują się codziennie od 10-ej do 6-ej. 1187—10

ZAKŁAD REPERACYJNY

i fabryka wyrobów 1039—10

TOKARSKO-GALANTERYJNYCH

Feliks Krzemiński

w Warszawie, Nowo-Senatorska Nr 3.

☞ NA SEZON JESIENNY I ZIMOWY: ☜

Ceny możliwie nizkie.

W wielkim wyborze Okrycia: z kortów, plaidów, szewiotów, kastorów, aksamitów, pluszy jedwabnych i angielskich, baranków, celesthn, syberyn miękkich i ciepłych. Wierzchy do futer, polonezy, rotundy, żakiety na futrach. Fasony najświeższe podług modeli z pierwszorzędnych domów zagranicznych. Mufki, kołnierze, czapeczki, boa futrzane, z piór, fantazyjne. Chustki, pledy, szale sznelowe. Wielki wybór materyałów okryciowych poleca Specyalny Magazyn Okryć Damskich ***A. ŁOJEWSKIEJ, Bracka Nr 10.*** 134 5—6

Ceny możliwie nizkie.

Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Октября 1891 г.

Redaktor i Wydawca **Emil Skiwski.**

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Dodatek.

N. 1. Kapotka z materyału. Patrz rycinę 2—3.

Opis do N-ru 42.

(Dokończenie).

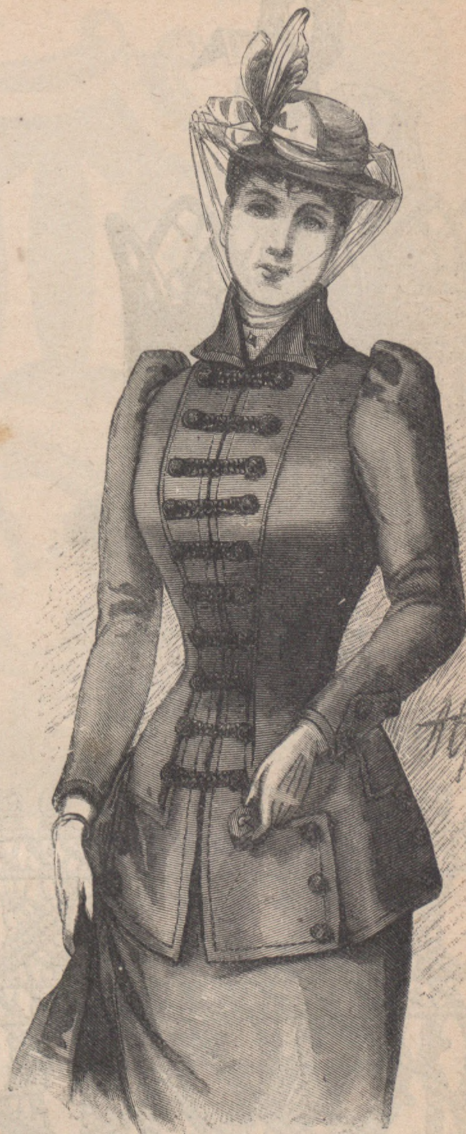
Zwierzchnie pokrycie kwaścika z ponsowego buretu, wymaga kawałka 16 c. w kwadrat, złożonego we czworo obciętego okrągło, następnie złożonego jeszcze przez połowę i wyciętego w zęby równej długości — najlepiej wypróbować z papieru żeby wypadło pięć zębów. Kwadrat tak przygotowany zakłada się na kwaścik, przewiązuje mocno w nagłówek, który zdobi krateczka złota, odrobiona szydełkiem.

N. 18 i 27. Ubranko dla starszej mężatki.

Podstawę dopasować trzeba ze sztywnego czarnego tiulu i założyć z brzegów przednich dwie fałdki podług znaczków na ryc. 27; brzegi oszyć drucikiem lub agremanem. Zwierzchnie pokrycie z kawałka aksamitu trzeba z przodu rozciągnąć zupełnie gładko, z tyłu zebrać w kilka fałdek. Dwa rzędy dużych płaskich, szlifowanych dżetów, lub czarnych rzniętych pereł nawleczonych na cieniutki drucik zakończają brzeg przedni. Z tyłu przypięta kokarda, ułożona z czarnej koronki chantilly 6 c. szerokiej, zeszytej brzegami do środka; pukle są po 14, końce po 19 c. długie.



N. 5. Plecy do ryc. 20.
N. 6. Plecy do ryc. 30.



N. 4. Paletocik jesienny.



N. 10. Sukienka dla dziewczynki lat 8—10.

N. 19. Berecik aksamitny dla panienki lat 14—16.

Zgrabnie odrobiony z czarnego aksamitu przypomina znany fason Wagnerowski; fałdowany brzeg kraje się w jednym ciągu z bufką spodnią, potrzeba na to skośnego kawałka 130 c. długiego, 24 c. w środku, 16 c. w końcach szerokiego. Zeszywszy brzegi poprzeczne, jeden brzeg podłużny podkłada się z przodu 4, z tyłu $2^1/_2$ c. szeroko i przyszywa wązką wstążeczką. Takaż wstążeczka podszyta jeszcze dwa razy, z przodu w odstępie 4 i 10 c., z tyłu 7 i 3 c. jedna od drugiej, służy do wsunięcia drucików, z których brzeżny liczy 72, środkowy 45, górny 33 c. Po zamocowaniu końcy drutów dodaje się denko z okrągłego kawałka 23 c. średnicy. Skromne przybranie składa się z trzech białych pomponów i kitki rajskich piórek przypiętych z lewego boku więcej do tyłu. Podszewka jedwabna przyczepia się do środkowego drucika; ażeby berecik dobrze leżał na głowie trzeba nagiąć druty z tyłu.



N. 2. Wymiar połowy podstawy do kapotki ryc. 1—3



N. 3. Kapotka z materyału. Patrz ryc. 1—2.



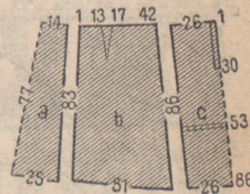
N. 8—9. Spódniczki z wolantami; patrz r. 7.

N. 20 i 26. Ubranko ze złotej koronki, dla młodej mężatki.

Rycina 26 daje wymiar podstawy, którą przygotować trzeba z białego sztywnego tiulu; w środku z przodu 6 c. pozostaje gładko, dalej z boków założone dwie głębokie fałdy, poza któremi brzeg jest gładki. Podstawę oszyć w około drucikiem i objąć wązką wstążeczką koloru vieil-or. Pokrycie zwierzchnie stanowi najpierw tiul złoty w duże oczka i torsadka złota 5 c. szeroka. Upięcie dane z koronki, której potrzeba około 112 c.; pięć złotych guzików zdobi ubranko z przodu.

N. 21. Suknia zdobna koronką.

Efektownie przedstawia się ubranie wizytowe z czarnej materyi jedwabnej w kolorowe bukiety



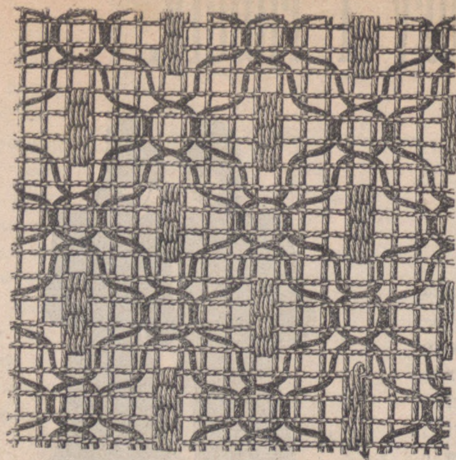
N. 7. Wymiar spódnicy do ryc. 8—9.



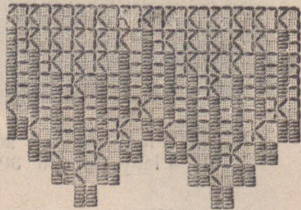
N. 11. Sukienka z vêtement dla dziecka.



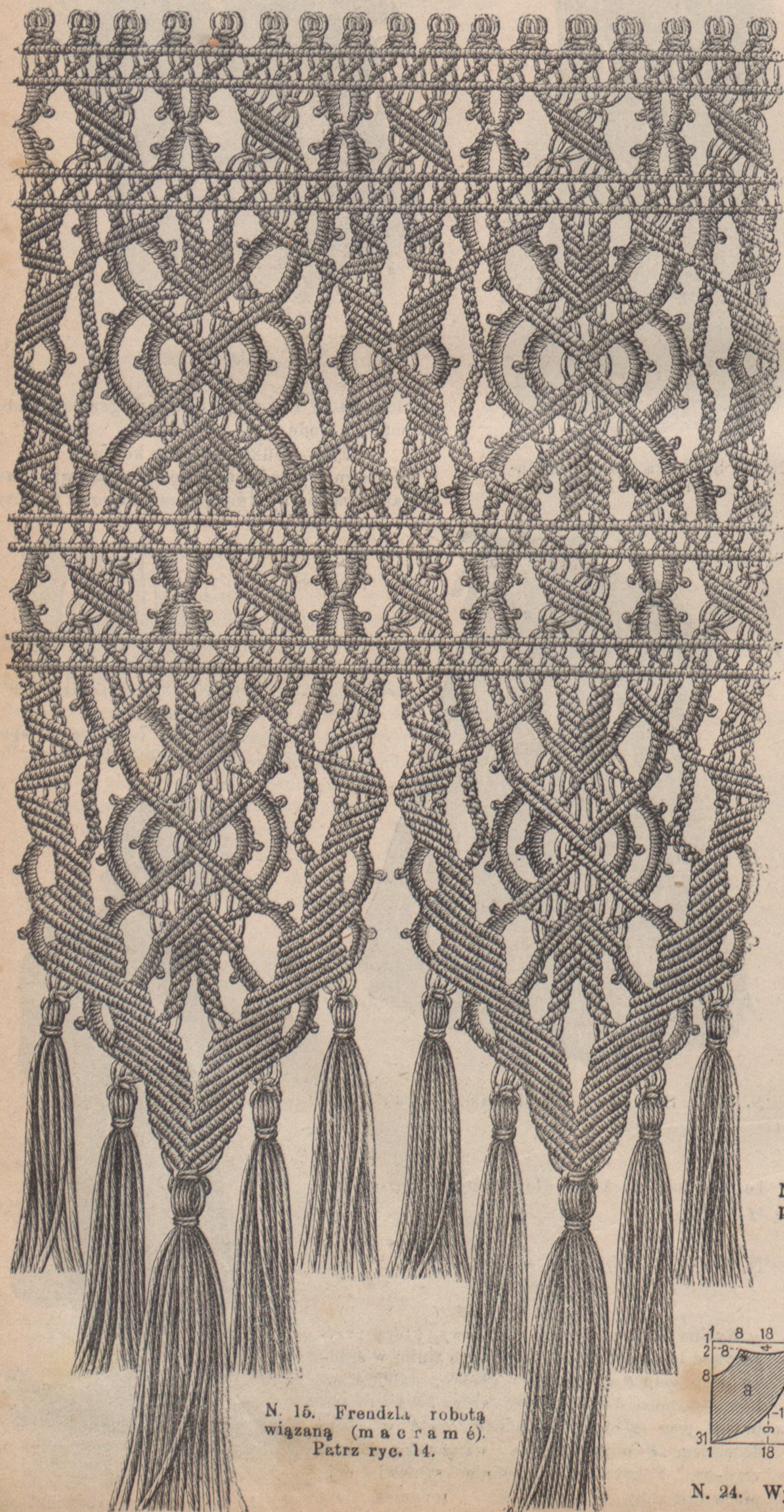
N. 14. Koszyczek do butelek ozdobiony frendzlą. Patrz ryc. 15.



N. 12. Tło wyszywane na siatce; na serwetki, kapy i t. p.



N. 13. Desenik do wszywki szydełkowej ryc. 26.

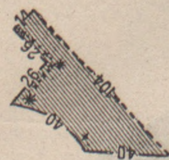


N. 15. Frendzla robotą wiązaną (m a c r a m é). Patrz ryc. 14.

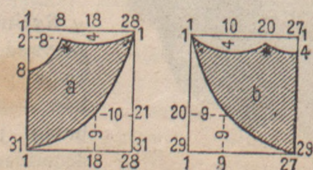


N. 16. Suknia z gorsecikiem z baskiną.

N. 17, Sukienka dla małej dziewczynki.



N. 23. Wymiar paniers do ryc. 21—22.



N. 24. Wymiar kołnierza do ryc. 19.

i czarnej koronki. Na spódnicy podszewkowej zwierzchnie upięcie z przodu układa się w fałdy plisowane zwrócone do środka, z tyłu w dwie szerokie kontrafałdy. Stanik bawetowy zapięty środkiem przodów, ma głęboki wykrój podłużny, otoczony podwójnym wysokim kołnierzem, podszytym u dołu podwójną wypustką z crêpe-lisse. Materya na przodach założona jest w fałdy po 4 cent. szerokie, podłożone koronką. Na rękawach dane koronkowe epolety, na które potrzeba dwóch kawałków koronki po 28 c. długich, 40 c szerokich, ściętych skośnie i zaokrąglonych w górze. Po zmarszczeniu brzeg górny przyszyty szwem odwracanym.

N. 22 i 25. Szlafrok formą princesse.

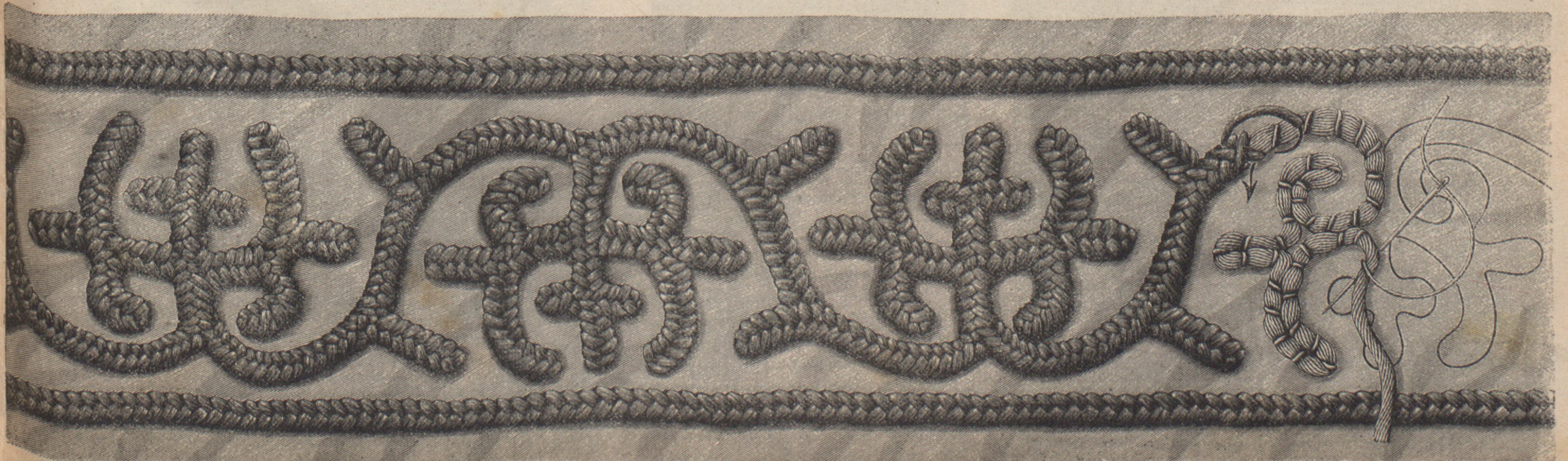
Dogodna forma tego szlafroka składa się z wolnych przodów krajanych wraz z boczkami i z pleców wcinanych, przy których naddany materyał składa się w fałdy pod spód. Dolna szerokość szlafroka wynosi 280 c. długość przednia 146 c. tylna 167 c. Model był z niebieskiej flaneli z białą kaszmirową podszewką; kołnierz chusteczkowy i żabot, tudzież garnirunek rękawów składa się z kaszmirowej białej falbany 19 c. szerokiej, dzierganej niebieskim jedwabiem i zaplisowanej drobniutko. Szarfa i kokardy z wstążki jedwabnej 6 c. szerokiej.

Suknia z bluzką koronkową, dla młodej panienki.

N. 19. Paletot z kołnierzem pelerynowym. Patrz ryc. 24.

N. 20. Suknia z przodem przyszytym na kształt falbany.

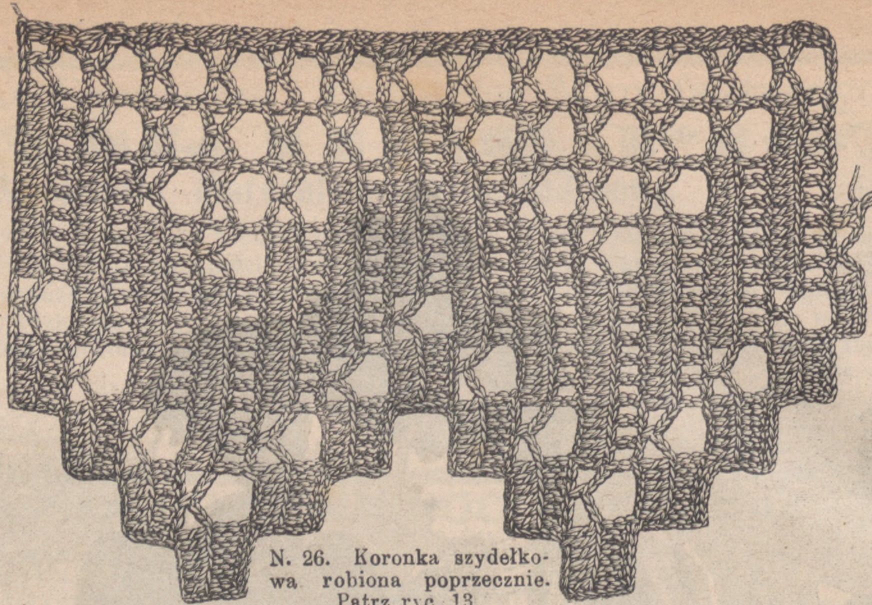
N. 21—22. Suknia z upięciem à paniers. Patrz ryc. 23.



N. 25. Szlak romański wyszyty ściegiem krzyżowanym.

N. 23—24 i 28. Szlafroczek z karczkiem.

Odpowiedni dla młodej osoby, odrobiony był z różowej krepy wełnianej i przybrany przeplataniem z listewek 3 c. szerokich, składanych podwójnie z krepy i z wstążki. Oryginalna taka szachownica stanowi karczek, pasek i mankiety; kokardy z wstążki dodać podług ryc. 23. Rycina 28 daje wymiar kroju połowy szlafroczka; brzeg górny przemarszczony w nagłówek przyszywa się na brzegu karczka 15 c. długiego. Złożenie fałdek na wcięciu stanu wskazują znaczki na ryc. 28; plecy zszywają się środkiem od 1 do 36, brzeg wystający przy 27 jest zmarszczony i wypada na wcięciu stanu pod paskiem, 6 c. szerokim. Kołnierzyk stojący 5 c. mankiety 10 c. wysokie; rękawy przemarszczone w nagłówek przyszywają się na mankiecie. Dolny obręb szlafroczka liczy 12 c. szerokości; przody niezeszyte odsłaniają spódniczkę.



N. 26. Koronka szydełkowa robiona poprzecznie. Patrz ryc. 13.

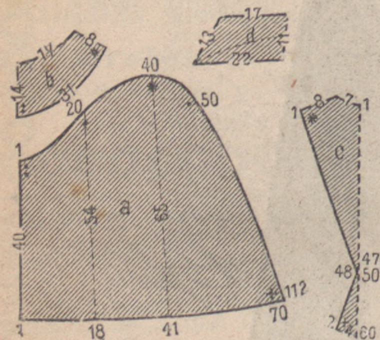
Opis do N-ru 45.

N. 1—3 Kapotka z materyału.

Zamiast fasonika filcowego, odrabia się kapotkę z tego co suknia lub odpowiedniego do niej materyału; model był z jasno piaskowego sukna. Podstawę kapotki



N. 27. Okrycie krótkie jesienne. Patrz rycinę 28—29.



N. 28. Wskazanie kroju okrycia ryc. 27—29.

można przygotować sobie ze sztywnego tiulu i drutu; gładkie na środku, z przodu w ząb wygięte rondko liczy 7, z tyłu 3 c. szerokości. Płaską główkę przykrywa denko wymierzone przez połowę na ryc. 2; brzeg przedni zaokrąglony prócz dwóch fałdek na środku zostaje zupełnie gładki, prosty brzeg dolny fałduje się z boków od 1 do 13 a w środku zostawia mały pukiel. Na czubku rondka ułożona suta kokarda z grubej żółtawej koronki, 14 c. szerokiej; podpięcie dyademowo ułożone z żółtawych piórek. Końce do wiązania z czarnej aksamitki 3 c. szerokiej.

N. 4. Paletocik wcinany.

Nowość stanowią patki krajane przy przodach paletocika, przytrzymane okrągłemi szmuklerskiemi guzikami. Model był z cienkiego brązowego sukna, na jedwabnej podszewce. Jak to widzimy na r. 4 pierwsze patki krają się razem z częściami przodów, drugie zakończają przody albo też idą od boczków; patki na rękawach krają się przy spodniej połowie i zachodzą na zwierzchnią. Zapięcie paletocika dane środkiem na haftki, zwierzchu zaś naszyte pentlice szmuklerskie przytrzymane guzikami.

N. 7—9. Spódnica z falbanami.

Przeznaczone do noszenia pod suknią czyli tak zwane halki, mogą być jedwabne z mienionej materyi lub wełniane, wymiar brytów daje ryc. 7. Górny brzeg przodu zostaje gładki, na biodrach dane zaszewki, z tyłu zmarszczenie. Okrągły pasek 8—10 c. szeroki jest z tyłu w górze przystębnowany na 10 c. długości, dla nawleczenia taśmy do wiązania. Przy jedwabnej spódniczce daje się wstążki po 52 c. długie 5 c. szerokie. Ryc. 8 przedstawia halkę naszytą u dołu trzema falbankami po 7 c. szerokiemi wyciętemi w ząbki, z których najniższa wystaje za brzeg dolny. Nad falbankami dany wolant 25 c. szeroki, 300 obwodu mający, u góry przemarszczony w nagłówek 3 c. szeroki, u dołu wycięty w zęby po 12 c. długie 21 c. szerokie, oszyte 4 c. szeroką falbaneczką, wyciętą w ząbeczki i bardzo suto namarszczoną. Druga spódniczka od dołu ogarnirowana podobnie jak pierwsza, ma wolant 43 c. szeroki, 308 c. obwodu u góry przemarszczony w nagłówek 5 c. szeroki.

N. 10. Sukienka dla dziewczynki lat 8—10.

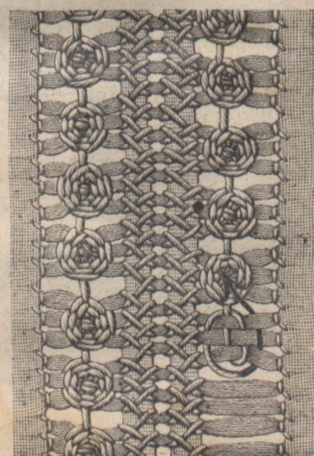
Materyał wełniany w grochy białe lub jaśniejsze od tła, zakończony jest szlakami przerabianemi fabrycznie; wokoło wykroju szyi dane przemarszczenie 7 c. szerokie, poniżej którego przody ułożone są w równe fałdki zwrócone do środka. Szlak zwrócony do dołu stanowi także kołnierz i mankiety. Spódniczka 57 c. długa 250 szeroka, zmarszczona w górze przyszywa się do stanika.

(Dokończenie nastąpi.)

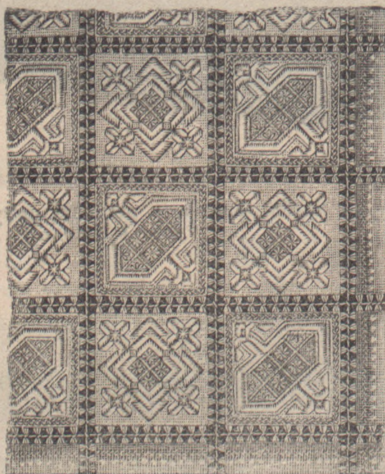


N. 29. Okrycie krótkie jesienne. Patrz ryc. 27—28.

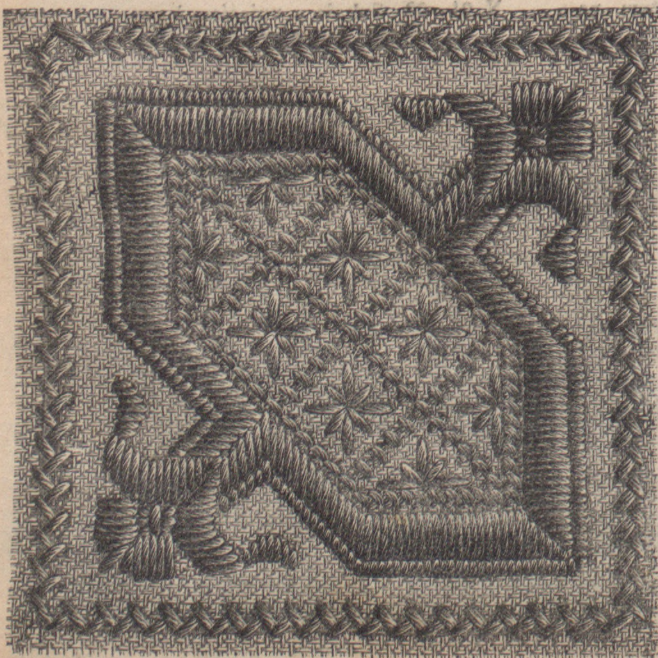
N. 30. Paletot z ranwersami. Krój jak do ryc. 25 w N. 30. Patrz ryc. 6



N. 31. Szlak z kratki ażurowej.



N. 32. Serweta wyszywana w kwadraty. Patrz ryc. 33—34.



N. 33. Wzór wyszycia do ryc. 32.



N. 34. Wzór wyszycia do ryc. 32.